

# Kraszewski, Tadeusz

---

## Zaraz po wojnie

---

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/4, 525-538

---

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TADEUSZ KRASZEWSKI\*

### ZARAZ PO WOJNIE

Początkowo moje powojenne losy tak się układały, że zacząłem wątpić w swój powrót do pracy dziennikarskiej. Trzeba się było chwycić tego, co się nasuwało pod rękę. Gdy wróciłem do Poznania — a wróciłem bardzo wcześnie, bo wkroczyłem do nie zdobytego jeszcze całkowicie miasta już 13 lutego (walki o Cytadelę trwały do 23 lutego) — zetknąłem się z ekipą, która organizowała wydział kultury w Urzędzie Wojewódzkim. Naczelnikiem był muzyk, dyrygent chórów przed wojną, Marian Weigt, a referentami m. in. prof. Jan Wroniecki, prof. Wacław Taranczewski, Zdzisław Kępiński, Stanisław Czapelski. Nie czekając więc, aż powstanie jakaś redakcja, do której można się będzie włączyć, zacząłem pracować w Województwie.

Gdy pod koniec kwietnia 1945 r. zdarzyła mi się okazja zrealizowania wojennych projektów wyjazdu na ziemie zachodnie, zgłosiłem się do ekipy Urzędu Wojewódzkiego wyjeżdżającej na Zachodnie Pomorze. Wyjechaliśmy do Pily, stamtąd na początku maja do Szczecina, jednak po tygodniowym tutaj pobycie cofnięto nas do Koszalina. Kilka miesięcy w tym mieście mieścił się Urząd Pełnomocnika Rządu Tymczasowego na Zachodnie Pomorze.

W Koszalinie spotkało się kilku przedwojennych członków Syndykatu Dziennikarzy Wielkopolskich. Było nawet dwóch członków zarządu: skarbnik — Wiktor Ujma i sekretarz — niżej podpisany. Byli poza tym Jarogniew Kaniasty i Leszek Gustowski. Spotykałem się w Koszalinie również z kol. Bardaszem (imienia nie pamiętam), który przed wojną był korespondentem z Poznania „Małego Dziennika”<sup>1</sup>. Bardasz

\* Tadeusz Kraszewski, ur. 12 I 1903 r. Ukończył Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Poznańskiego. Pracę dziennikarską rozpoczął w 1928 r. w „Słowie Poznańskim”, a następnie w „Kurierze Poznańskim”. W latach 1945—1948 i 1957—1966 pracował w Zachodniej Agencji Prasowej, potem w Agencji Interpress. Działacz Syndykatu Dziennikarzy Poznańskich i innych stowarzyszeń dziennikarskich (Red.).

<sup>1</sup> „Mały Dziennik” — gazeta klerykalna wydawana od 1935 r. w Niepokalanowie koło Sochaczewa, organ Milicji Niepokalanej.

wcześniej osiedlił się w Szczecinie. W okresie gdy nie zorganizowany był jeszcze aparat bezpieczeństwa, został w nocy napadnięty, obrabowany i zamordowany w swej willi.

Poza Kaniastym nikt z nas co prawda aktualnie w dziennikarstwie nie pracował, ale w porozumieniu z Wydziałem Propagandy postanowiliśmy powołać do życia Związek Zawodowy Dziennikarzy. Z pracujących w Urzędzie dziennikarzy pamiętam naczelnika tegoż, por. Pawłowski, przedwojennego dziennikarza warszawskiego Edmunda Grzybowski, inne nazwiska zatarły mi się już w pamięci. Chyba gdzieś w lipcu czy sierpniu odbyło się w Koszalinie konstytucyjne zebranie oddziału zachodniopomorskiego organizacji dziennikarskiej, został powołany tymczasowy zarząd. Ale o dalszych poczynaniach tej instytucji nie potrafię nic powiedzieć, ponieważ w początkach października wróciłem ze swej „pionierki” do Poznania, gdzie otwierały się możliwości pracy dziennikarskiej.

Jeszcze w czasie okupacji w Zrzeszeniu Dziennikarzy Ziemi Zachodnich projektowało się i planowało na „po wojnie” założenie spółdzielni dziennikarskiej, która miała prowadzić agencję i nawet wydawnictwo książkowe. Zaczątki tej działalności rozpoczęły się podczas okupacji, wówczas nasza grupa wydawała „Biuletyn Zachodni”<sup>2</sup> (tzw. „bezety”, albo w gwarze konspiracyjnej „ziemniaki”). Nie miało to jeszcze w pełni charakteru pracy agencyjnej, ale stanowiło jej namiastkę. Po wojnie miała ta spółdzielcza Agencja otrzymać nazwę: Zachodnia Agencja Prasowa. Bardzo nam się nawet podobał skrót ZAP — dobrze się odmienia i brzmi przyjemnie.

„Biuletyn Zachodni” miał bardzo skromną szatę zewnętrzną. Pisany na woskówkach, powielany był na ręcznym powielaczu w liczbie stu do trzystu egzemplarzy. Redagował go Edmund Męclewski, pomagał mu Zbyszko Bednorz. Współpracowałem z nim tylko dorywczo, ale pamiętam kiedyś — a było to przed Bożym Narodzeniem, chyba 1943 r. — „spalił się” lokal powielarni. Sprawa była pilna, należało numer świąteczny w porę rozesłać, więc zaofiarowaliśmy z żoną na powielanie nasze mieszkanie. Było ono dwupokojowe. W dużym pokoju spała trójka naszych dzieci oraz teściowie, a przechodziło się do niego z korytarza przez mniejszy pokój, w którym ulokowaliśmy „introligatornię”.

---

<sup>2</sup> „Biuletyn Zachodni” — wydawany raz w miesiącu w Warszawie konspiracyjny biuletyn zawierający informacje dotyczące ziem zachodnich. Ukazywał się w latach 1941—1944. Do wydawnictwa tego nawiązywała założona w Poznaniu w końcu 1945 r. jako spółdzielnia dziennikarska Zachodnia Agencja Prasowa. ZAP zajmowała się problematyką niemiecką, sprawami ziem zachodnich i północnych, tematyką morską. Wydawała liczne publikacje i biuletyny. Nie działała w latach 1948—1956.

W kuchni ulokowany był powielacz, przy którym pracował naczelnny redaktor z pomocnikiem. W „introligatorni” siedziało kilka osób, które zbierały powielone strony, zszywały numer i na pierwszej stronie, ozdobionej narysowaną gałązką choinki, przyklejały paseczkami papieru kawałek opłatka.

Robota szła rażno. Żeby nie stukać buciarami po podłodze i nie wywoływać niepokoju sąsiadów, wszyscy uczestnicy pracy przynieśli ze sobą paputki. Z zabłoconych butów w kącie korytarza utworzył się pokaźnych rozmiarów stosik.

W pewnej chwili całe towarzystwo zostało poważnie zaniepokojone ostrym dzwonkiem przy drzwiach. Dziesiąta — dawno po godzinie policyjnej. Kto może być o tej porze!

Zgąsło światło w pokoju i w kuchni. Żona narzuca szlafrok i, udając zaspanie, idzie otworzyć.

— Kto tam?

Okazało się, że to szmuglerka, stała dostawczynią słoniny czy masła, otrzymała świeży transport towaru i roznosi go klientom, lekceważąc policyjne zakazy.

Wszystko skończyło się dobrze, tylko babina z wielkim zdumieniem patrzyła na stos zabłoconych buciarów w kącie korytarza. Ale... dykskrecja była jednym z najważniejszych warunków wszelkiej konspiracji, zarówno szmuglu słoniny, jak kolportażu prasy podziemnej.

Pozwoliłem sobie na tę dygresję w czasie okupacji dla zademonstrowania, że nie byliśmy przyzwyczajeni do wszelkiego rodzaju ułatwień w pracy, nie baliśmy się trudnych warunków technicznych czy innych trudności natury materialnej. Gdy kol. Edmund Męclewski zasygnalizował mi do Koszalina, że istnieją możliwości realizowania naszych dawnych projektów i zamierzeń, odpowiedziałem bardzo ochotnie na jego wezwanie.

Sporo przemyśleń organizacyjnych mieliśmy już poza sobą, trochę doświadczenia również, a poza tym dużo ochoty do pracy. Na początek było nas trzech. Każdy z nas wniósł też do przyszłej spółdzielni własną maszynę do pisania. Był już zaczątek „parku maszynowego”. Edmund Męclewski jako duch inspirujący, Antoni Kawczyński, przedwojenny redaktor „Ilustracji Polskiej”<sup>3</sup>, znający świetnie język niemiecki i problematykę, której praca ZAP-u miała być poświęcona, mający poza sobą pracę konspiracyjną w propagandzie antyhitlerowskiej w armii niemieckiej, oraz piszący poniższe wspomnienia stanowili pierwszą kadrę przyszłej wielkiej instytucji prasowej.

Jako pierwszy podał nam przyjazną rękę wcześniej już zorganizo-

<sup>3</sup> „Ilustracja Polska” — tygodnik wydawany przez koncern „Kuriera Poznańskiego” od 1927 r. pod redakcją A. Kawczyńskiego.

wany Polski Związek Zachodni, którego centrala mieściła się w Poznaniu i dysponowała obszernym lokalem przy ul. Chełmońskiego 2. W tymże domu mieścił się także Instytut Zachodni, organizowany i kierowany przez prof. dra Zygmunta Wojciechowskiego.

Na początek Polski Związek Zachodni zaofiarował nam dwa pokoje, z jednym stołem kancelaryjnym i dwoma z lekka okaleczonymi krzesłami. Zezwolenie na wydawanie „Biuletynu Zachodniego” załatwił w Ministerstwie Informacji i Propagandy Zenon Kliszko na prośbę Czesława Brzóska i Edmunda Męclewskiego.

Początkowe stadium prac organizacyjnych utrwalił Kazimierz Koźniewski, który złożył nam wizytę w tym czasie, w pierwszym tomie reportażu z Ziemi Odzyskanych pt. *Zywioty* (Poznań 1948).

Poza opisanymi przez Koźniewskiego dyskusjami w lokalu własnym odbywały się też nader owocne obrady w kawiarni „Mocca”, w której — cóż za luksus! — można było napić się kawy „naturalnej” (duża szklanka, o ile pamiętam, za trzy złote), albo też kawy „prawdziwej” (mała filiżanka — 25 zł).

Aby dać podstawy spółdzielni pracy dziennikarskiej, trzeba było zebrać grono założycieli — dziennikarzy, przynajmniej dziesięć osób, i odbyć zebranie konstytucyjne, na którym zostaną wybrane władze spółdzielni: rada nadzorcza i zarząd, a wszyscy członkowie zadeklarują udziały, które nie muszą być wpłacane w gotówce, lecz potrącać się je będzie z zarobków w spółdzielni.

Składu Rady Nadzorczej w pierwszej jej kadencji już w tej chwili nie pamiętam. W każdym bądź razie w ciągu pierwszych lat istnienia ZAP-u należeli do niej następujący koledzy: Henryk Śmigieński, Tadeusz Powidzki, Czesław Kędzierski, Henryk Barański (Franciszek Hryniewicz), Czesław Brzóska, Stanisław Szenic, Czesław Pilichowski.

Odbyło się to zebranie w październiku 1945 r. Rada nadzorcza powołała zarząd w osobach: Edmund Męclewski, Antoni Kawczyński i Tadeusz Kraszewski. Załatwianie formalności rejestracyjnych spółdzielni i pierwsze prace organizacyjne ciągnęły się przez kilka tygodni. Pierwsze biuletyny ZAP-u zaczęły się ukazywać pod koniec listopada, a od 1 grudnia codziennie już regularnie wychodził biuletyn.

Zacząć trzeba było od uzyskania kredytu. Otworzył go nam Bank Spółdzielczy na sumę 200 000 zł. Kupiliśmy powielacz, który w porównaniu z naszym okupacyjnym wydawał nam się szczytem nowoczesnej techniki, zapas woskówki i papieru powielaczowego. Pisało się woskówki na naszych maszynach *portable*. No i zaczęliśmy kompletować zespół.

„Centrala” składała się z sześciu osób: prócz nas trzech — maszynistka, goniec oraz zastępujący cały dział techniczny Bolesław Wasilewski, były urzędnik pocztowy, człowiek niestrudzonej pracowitości,

sumienny i ofiarny. Przy pomocy gońca powielał, zbierał i zszywał biuletyny, pakował, adresował i wreszcie wypożyczonym ręcznym wózkiem pchał na pocztę. Pomagaliśmy mu w miarę wolnego czasu, ale najchętniej robił wszystko sam. W późniejszych latach komenderował całym zespołem powielarni, ekspedycji, introligatorni i magazynu, ale ze wzruszeniem i lekką dumą wspominał zawsze czasy, gdy „samowtór” wykonywał pracę podzieloną później między kilkanaście „sił fachowych”.

Dopływ materiałów informacyjnych z terenu zabezpieczała nam sieć korespondentów, którą już z dawna montowaliśmy. Teraz trzeba było jednak objechać cały teren, podpisać umowy, ustalić warunki pracy. Podróżowanie w tym czasie nie należało do najprzyjemniejszych rozrywek, a szczególnie na terenie Ziem Odzyskanych, gdzie życie odbudowywało się jednak wolniej niż na pozostałych ziemiach Polski, wcześniej przy tym wyzwolonych spod okupacji hitlerowskiej.

Do końca roku mieliśmy już korespondentów we wszystkich miastach wojewódzkich Ziem Odzyskanych w tzw. na kredyt „oddziałach”. Jedni z nich przetrwali z ZAP-em cały okres do końca 1948 r., inni podpadali szybciej. Na wybrzeżu mieliśmy oparcie w Witoldzie Mężniczym, towarzyszu z pracy konspiracyjnej w okresie okupacji. Później pracowało tam małżeństwo z naszych kursów dziennikarskich: Krystyna z Kowalskich i Alojzy Męclewscy. W Katowicach pomagał nam montować oddział śląski Stanisław Ziemia — również towarzysz z konspiracji, który był tam naczelnym redaktorem „Dziennika Zachodniego”<sup>4</sup>. Wkrótce kierownikiem tego oddziału, w którym pracowało kilku byłych naszych kursantów, został Janusz Kowalczyk. Do Szczecina pojechał przedwojenny kolega Czesław Piskorski, w Olsztynie współpracował z nami Antoni Kwiatkowski. We Wrocławiu osiadła Krystyna Nepomucka, w Jeleniej Górze — Stefan Trzeciński. Nie mając finansowych możliwości utrzymywania wszędzie korespondentów dla wyłącznej obsługi ZAP-u, angażowaliśmy do współpracy członków redakcji pism lokalnych.

Oszczędzać musieliśmy bardzo, nasze kapitały bowiem były szczupłe. Pamiętam np., że w grudniu 1945 r., gdy angażowaliśmy maszynistkę dając jej pensję dwa tysiące złotych, nasze pobory wynosiły po cztery tysiące.

Z niepokojem śledziliśmy, jak nasza „produkcja” zostanie przyjęta przez kolegów z redakcji pism, przede wszystkim codziennych. Bo dla prasy były przeznaczone nasze biuletyny informacyjne, wychodzące codziennie i przynoszące zwięzłe wiadomości z terenu Ziem Odzyskanych, a także tygodniowe biuletyny publicystyczne i materiałowe, których

<sup>4</sup> „Dziennik Zachodni” — gazeta założona 6 II 1945 r. w Katowicach, wydawana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, a następnie przez RSW „Prasę”.

z biegiem czasu przybywało, bo domagała się tego bogata i różnorodna problematyka, jaką się ZAP zajął.

Początkowo współpraca rozwijała się bardzo opornie. Po biuletyny ZAP-u sięgało się raczej niechętnie. Trzeba było dopiero rozbudzić zainteresowanie prasy, przekonać najpierw dziennikarzy, że należy czytelnika o tych sprawach informować, zapoznawać go z tą problematyką, choćby go ona początkowo nudziła. Zadanie to spełnił w dużej mierze I Kongres Dziennikarzy Ziemi Zachodnich.

Ale ten Kongres odbył się dopiero w marcu 1946 r. Nie wybiegając tak daleko naprzód, chciałbym zatrzymać się jeszcze w swych dziennikarskich wspomnieniach przy końcu roku 1945.

Rozpoczynając pracę dziennikarską, zgłosiłem się oczywiście do Związku Dziennikarzy, który działał już od maja w Poznaniu. Prezesem był młody dziennikarz, kierownik oddziału PAP, Andrzej Stanisławski. Na zebraniu 13 października został wybrany nowy zarząd. Prezesem został Henryk Barański — takiego *nomme de guerre* z czasów okupacji używał jeszcze red. Franciszek Hryniewicz, który przed wojną pracował w Wilnie, a teraz osiedlił się w Poznaniu. Wszedłem i ja do tego zarządu.

W grudniu miał się odbyć pierwszy po wojnie Walny Zjazd Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Podróżowanie w tym czasie, jak już wspominałem, było poważnym zagadnieniem. Trzech delegatów poznańskich — prezes H. Barański, H. Śmigieński i ja — może był jeszcze ktoś więcej, ale pewnie jechał innym środkiem lokomocji, albo też zatarł mi się w pamięci — zdecydowaliśmy się jechać autobusem. W pociągach przerażał nas tłok, w autobusie przez jakieś protekcje mieliśmy zapewnione miejsca siedzące. Ale już sam wyjazd nie był sprawą prostą. Autobus wyruszał o godzinie szóstej rano z garażu na krańcach miasta. Zbraliśmy się już wieczorem, aby o czwartej rano rozpocząć gromadką wędrówkę ciemnymi ulicami, po pełnych dziur i wyboi chodnikach czy po jezdni, do tej autobusowej stacji. Oczywiście nocne tramwaje albo taksówki były marzeniem.

Pasażerowie stawili się punktualnie, ale autobusowi się nie spieszyło: a to mu coś nie chciało zaskoczyć, a to się coś zacięło. Zamiast o szóstej wyruszyliśmy o ósmej, ale i to było zbyt wcześnie, bo szosa jeszcze nie rozmarzła i po gołoledzi posuwaliśmy się krok za krokiem. Według rozkładu mieliśmy być w Warszawie tuż po południu, w rzeczywistości dobiliśmy późnym już wieczorem.

Zakwaterowani mieliśmy być w „Bristolu”, a końcowy przystanek autobusu znajdował się gdzieś w okolicach „Polonii”. Przekonaliśmy się więc praktycznie, że nocne wędrówki po Poznaniu są w porównaniu z warszawskimi marszem po równym stole.

W „Bristolu” portier prowadził nas do zarezerwowanego *locum* ze

świecą w ręku. Musiał osłaniać płomień, bo po długich korytarzach hulał wiatr — tu i tam były jeszcze nie zasłonięte wyrwy w ścianach. Wprowadził nas do pokoju, którego jedynym umeblowaniem był stos sienników na podłodze.

— Tu jest kwatery panów redaktorów — powiedział nam uprzejmie.

— A na ile osób zarezerwowany jest ten pokój? — zapytaliśmy.

— Na czterdzieści — odparł rzeczowo. — Co prawda, nie ma tu tylu sienników, ale i tak nie dałoby się ich wszystkich rozłożyć — nie zmieściłyby się. Więc panowie muszą tak jakoś...

No więc ulokowaliśmy się tak jakoś. Jeździło się wtedy zawsze z jakimś kocem; teczka pod głowę. Owinąwszy się legliśmy pokotem. Po męczącej podróży spało się smacznie.

Zjazd był bardzo ciekawy; spotkało się na nim sporo kolegów, którzy nie widzieli się od czasu powstania warszawskiego, a nawet jeszcze dawniej.

Jak wiadomo, ostatni przedwojenny Zjazd Syndykatów z maja 1939 r., który odbywał się w Gdyni, a w którym brałem też udział, uchwalił, że zjazd następny odbędzie się w Gdańsku. Pierwszy zjazd powojenny z natury rzeczy powinien odbyć się w stolicy. Organizatorzy postanowili połączyć jedno z drugim: rozpocząć w Warszawie, załatwić tu wszystkie uchwały organizacyjne i merytoryczne, po czym przenieść się do Gdańska na część uroczystościową, która będzie miała poważny wydźwięk propagandowy.

Zebranie inauguracyjne było „dobrze obesłane”. Było na nim kilku ministrów. W imieniu rządu witał Zjazd premier E. Osóbka-Morawski. Pamiętam, że był, jako dawny dziennikarz, minister spraw zagranicznych W. Rzymowski, minister informacji i propagandy S. Matuszewski i jeszcze kilku innych.

Wieczorem odbył się w „Polonii” bankiet wydany przez ministra propagandy. Sprawiało trochę niesamowite wrażenie nagłe przejście z ciemnej, pokrytej gruzami ulicy do jasno oświetlonej sali, z bielą obrusów, połyskiem srebra i kryształów, wypełnionej przez dobrze ubraną publiczność. Zdaje mi się, że kelnerzy byli we frakach, a portier przy wejściu w liberii. No, i stoły zastawione suto, dobrymi trunkami, świetnymi zakąskami. I znów... wyjście na ciemną ulicę, wędrówka do „Bristolu” kanionami gruzów, po górach i dołach. Ot, powrót do codziennej tego czasu rzeczywistości.

Pamiętam ożywione dyskusje i tarcia przy wyborze władz, bo byłem członkiem komisji-matki. Część zebranych lansowała na prezesa Witolda Giełżyńskiego, którego znałem jeszcze sprzed wojny i ze współpracy w czasie okupacji w tajnych organizacjach dziennikarskich. Drugim kandydatem był Józef Wasowski. W głosowaniu wygrał ten ostatni. Inne



kandydatury, o ile sobie przypominam, nie budziły większych kontrowersji.

Po wyborach Zjazd przeniósł się do Gdańska. Znow wyplęła sprawa komunikacji. Oczywiście nie do pomyslenia było, ażeby kilkuset delegatów zmieściło się w pociągu przewidzianym w rozkładzie jazdy. A jeszcze trudniejsze do pomyslenia byłyby jakieś dodatkowe wagony. Jechaliśmy więc specjalnymi autobusami, o które było łatwiej.

Ale znow wdała się w sprawę pogoda. Wyjechaliśmy gdzieś około czwartej po południu. Pamiętam efektowny przejazd pontonowym mostem przez Wisłę, o zapadającym zmroku. Liczono się z ostrożną, powolną jazdą i przejazd do Gdańska planowany był dopiero na wczesne ranne godziny. Unikało się kłopotu z noclegami. Ale po lekkiej odwilży chwycił nagle mróz i na szosach powstała przeraźliwa gołoledź. Nie pomagało zakładanie na koła łańcuchów. Musieliśmy jechać powolutku, krok za krokiem. Napotykaliliśmy po drodze leżące w rowach auta, także autobusy. Minęła noc, mijał powoli dzień. Szoferzy ledwie się już trzymali na nogach. Trzeba było robić dłuższe odpoczynki. Dojechaliśmy do Gdańska ciemną już nocą. Czekają tu na nas śniadanie, obiad i kolacja. Program uroczystości trzeba było przesunąć o jeden dzień.

Znow ze zgrozą oglądaliśmy rozbite w gruzy miasto. Trudno było ocenić, gdzie zniszczenia są większe — w Warszawie czy w Gdańsku. Ale nocleg mieliśmy tu wygodniejszy niż w stołecznym „Bristolu”, co prawda nie w hotelu, ale w jakiejś klinice, w Gdyni. Było czysto i biało. Każdy dostał osobne łóżko zasłane czystą pościelą. Były nawet czynne łazienki.

Braliśmy udział w jakichś uroczystych posiedzeniach, wmurowaliśmy jakąś tablicę pamiątkową, odbyły się jakieś otwarcia i jakieś przyjęcia. Szczegółów nie pamiętam, ale nastrój był bardzo podniosły, a pod koniec wesoły i radosny.

Do Poznania — zrażeni do autobusów — zdecydowaliśmy się wracać pociągiem. Komunikacja to istotnie od autobusów pewniejsza, ale mniej wygodna. Wprost z pożegnalnego bankietu podrzucili nas gdyńscy koledzy samochodem na dworzec. Z trudem wbiliśmy się do przepełnionego przedziału. Był ścisk, gorąco, duszno. Po gdyńskich przyjęciach męczyło nas pragnienie, a o bufetach w pociągu jeszcze się wtedy nikomu nie śniło. Rozkłady jazdy nie były jeszcze zbyt dokładnie ustalone — nie można się było ani rusz dowiedzieć, czy pociąg będzie stał na danej stacji piętnaście czy tylko dwie minuty. Trudno było ryzykować wyskakiwanie do bufetu.

Przekonał się o tym bardzo dotkliwie prezes Barański. Złamało go pragnienie, wyskoczył na jakiejś stacji z pociągu i pobiegł ręczo ku bufetowi, z którego nęciły go rzędy butelek z lemoniadą i wodą sodową.

A pociąg gwizdnął i odjechał. Drogo kosztowała kol. Barańskiego ta wymarzona butelka wody. Dowiedział się, że następny pociąg — po tym, którym pojechało do Poznania jego futro i walizeczka — przewidziany jest dopiero za kilkanaście godzin. Użył wszystkich swoich czarów, by namówić kolejarzy do zabrania go na lokomotywę idącego w tym samym kierunku pociągu towarowego. Przepłacił tę wycieczkę zapaleniem płuc, kilku tygodniami przymusowego leżenia w łóżku.

Wracam do ZAP-u, który powoli rozwijał swe agendy. Nie dysponuję żadnym raptularzem z tych czasów, który by pomógł ustalić chronologię poszczególnych etapów tego rozwoju. Opisuję tak, jak mi to pamięć dyktuje. Równoległe z centralą poznańską rozwijał się nasz oddział warszawski.

Rozpoczęło się od jednego korespondenta stołecznego. Został nim Antoni Spandowski, towarzysz prac konspiracyjnych z czasów okupacji, kiedy to przeżył niejedną dramatyczną chwilę (a z perspektywy czasu takie emocjonujące przygody wydają się najciekawsze i najweselsze) i niejedno widział ze świetnego punktu obserwacyjnego — stoiska księgarskiego na placu Napoleona. Pracował tam jako sprzedawca obok Władysława Dunin-Wąsowicza, niezapomnianego skarbnika zarządu głównego Syndykatów, dobrego kolegi, przyjaciela młodych dziennikarzy, i Witolda Mężnickiego, najpotężniejszego w Polsce (a może nie tylko w Polsce) dziennikarza, którego można by też stawiać jako wzór sprzedawcy, z wdziękiem poruszającego się między stosami książek, z humorem obsługującego różnorodną klientelę.

Wkrótce okazało się, że prócz obsługi redakcyjnej potrzebna jest w stolicy jakaś akwizycja. Przecież tu mieściły się poza prasą instytucje z natury rzeczy zainteresowane pracą agencji, z Ministerstwem Ziemi Odzyskanych na czele. Pozyskaliśmy do tej pracy Janinę Hołówkową, doświadczoną pracownicę wydawniczą, zajmującą przed wojną poważne stanowisko w wydawnictwach prasowych.

Potem wyłoniła się potrzeba zorganizowania propagandy dla spopularyzowania naszej problematyki za granicą. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zainteresowało się wydawaniem biuletynów w obcych językach, dostarczających prasie zagranicznej materiałów z zakresu problematyki naszych Ziemi Odzyskanych i stosunków polsko-niemieckich. E. Męclewski coraz częściej i na coraz dłużej musiał jeździć do Warszawy, aż w końcu całkiem się tam przeniósł. Obok naczelnej redakcji ZAP-u objął sekretariat tzw. Komitetu Porozumiewawczego dla zagranicznej propagandy Z.O., który to Komitet (pod przewodnictwem prof. dr. W. Goetla) oparty był na współpracy ministerstw Ziemi Odzyskanych i Spraw Zagranicznych.

Kierownikiem redakcji zagranicznej ZAP-u był Jan Zaborowski;

a spośród jej najbliższych współpracowników pamiętam: Ludwika Karnkowskiego, Bronisława Zielińskiego, Jadwigę Lasocką, Edwarda Kmiecika, Helenę Lehrównę, Andrzeja Leśniewskiego, Dominika Morawskiego, Jana Zarańskiego.

Na początku 1946 r. wyłoniła się możliwość wysłania specjalnego korespondenta ZAP-u na rozpoczynający się w Norymberdze proces głównych zbrodniarzy wojennych. Wydelegowaliśmy Antoniego Kawczyńskiego, drugiego członka zarządu. Z tego tytułu na moje barki spadły obowiązki dyrektorskie — zajmowanie się sprawami finansowymi, gospodarczymi, administracyjnymi. Niezbyt mi to odpowiadało, ale pocieszałem się, że to tymczasowe. Jednakże sprawy ułożyły się inaczej — zastępstwo zamieniło się w stałe obowiązki, bo Kawczyński nie wrócił. Jego żona miała obywatelstwo USA i wyjechała już wcześniej do Niemiec w poszukiwaniu córki i innych członków rodziny, wywiezionych w 1943 r. do obozów koncentracyjnych. Rodzina się odnalazła tylko częściowo, bo matka i siostra Kawczyńskiego zmarły w obozie. W Norymberdze Kawczyński odnalazł żonę i pasierbicę. Żona została kierowniczką kasyna dla korespondentów prasowych na procesie. Pasierbica — zawodowa tancerka — występowała w teatrze objazdowym dla wojsk amerykańskich. Cieszyła się dużym powodzeniem, jako „tancerka z wytatuowanym numerem telefonu”. Chodziło o wytatuowany na ręce numer obozu oświęcimskiego. Zareczyła się wkrótce z oficerem amerykańskim, wyszła za mąż i wyjechała z mężem do USA. Później ściągnęła do siebie matkę, a ta z kolei męża, czyli naszego kolegę.

Ale to już późniejsze czasy. Jeszcze w marcu 1946 r. przyjechał Kawczyński z Norymbergi na nasz Kongres (o którym zaraz powiem obszerniej) i wygłosił na nim bardzo interesujący referat pt. *Niemcy w obliczu Norymbergi*. Prezentowanie „własnego korespondenta” z procesu norymberskiego, którym społeczeństwo polskie z natury rzeczy bardzo się interesowało, dodawało naszej Agencji w oczach dziennikarzy powagi i atrakcyjności. Byliśmy dumni, że Western Press Agency ma swoje miejsce między najpoważniejszymi organami prasy światowej. Kawczyński bardzo sumiennie wywiązywał się ze swych obowiązków. Niestety, po procesie już do naszego zespołu nie wrócił.

Jak już wspomniałem, nie cała prasa polska doceniała wagę problematyki, jakiej poświęciła się nasza Agencja. Oczywiście, wielu kolegów okazywało duże zrozumienie dla naszej pracy i starało się w naszych wysiłkach pomóc. Ale to raczej należało do wyjątków. Trzeba było za wszelką cenę przełamać mur obojętności. Było to sprawą o dużej doniosłości politycznej, nie mówiąc o tym, że dla nas, dla Agencji, było kwestią bytu.

Padła myśl zwołania ogólnopolskiej narady dziennikarzy interesują-

cych się zagadnieniami zachodnimi. Pierwszym etapem było powołanie komitetu organizacyjnego, do którego zaprosiliśmy kolegów, otaczających w swych pismach szczególną opieką omawianą problematykę. Ponieważ gros pracy organizacyjnej przy projektowanym zjeździe w Poznaniu miało z natury rzeczy spaść na kolegów poznańskich, znalazło ich się w Komitecie najwięcej. Prócz „zapowców” (E. Męclewski był przewodniczącym komitetu) należeli tu m.in.: Jan Zagierski, Jan Brzeski, Henryk Barański, Henryk Śmigielski, Bogdan Danielewski, a spoza Poznania m.in.: Stanisław Ziemia z Katowic, Stanisław Witold Balicki z Krakowa, Witold Mężnicksi i Bolesław Wit Świącicki z Wybrzeża.

Zjazd postanowiono odbyć w Poznaniu w marcu tego roku i nazwać go I Kongresem Dziennikarzy Zachodnich. Zaprojektowano protektorat wicepremiera i ministra Ziem Odzyskanych Władysława Gomułki oraz ministra informacji i propagandy Stefana Matuszewskiego.

W trakcie prac przygotowawczych do Kongresu trzeba było, oczywiście, trochę pojeździć. Na tym odcinku już się sytuacja nieco poprawiła. Pamiętam na przykład, że zapraszać protektorów i poagitować trochę wśród prasy stołecznej jechaliśmy z kolegą Zagierskim wykwinnie, osobowym autem „czytelnikowskim”. Pamiętam wizyty u min. Matuszewskiego, który przyjął protektorat nad Kongresem i obiecał przyjechać, także u Borejszy, który przyrzekł zalecić pismom „czytelnikowskim” liczny udział w Kongresie.

Kongres wypadł całkiem okazale. Zjechało się sporo dziennikarzy z całej Polski, a Ziemie Odzyskane były szczególnie licznie reprezentowane. Było sporo działaczy PZZ. Obrady Kongresu toczyły się w gmachu XVII-wiecznego kolegium jezuickiego, w którym mieścił się po wojnie Urząd Województwa, a obecnie biura Prezydium Rady Narodowej m. Poznania. Bardzo przychylnie ustosunkował się do imprezy ówczesny wojewoda poznański dr Feliks Widy-Wirski — nie tylko zaofiarował dużą salę na plenarne obrady i kilka mniejszych na obrady komisji, ale też sam brał w nich udział i na zakończenie wydał bankiet dla uczestników Kongresu. Zachowały mi się fotografie z Kongresu, obejmujące stół prezydialny. Przewodniczył Stanisław Ziemia. Przy stole siedzieli od lewej strony poczynając: Stanisław Prószyński, Z. Markiewicz-Karczewska, S. W. Balicki, S. Ziemia, T. Kraszewski (sekretarz), B. W. Świącicki, J. Zagierski, Z. Małycha, H. Barański.

Dla zaznaczenia ciągłości naszej pracy z działalnością konspiracyjną w czasie hitlerowskiej okupacji komitet organizacyjny Kongresu postanowił, iż pierwszym referatem będzie *Sprawozdanie z działalności Zrzeszenia Dziennikarzy Ziem Zachodnich podczas okupacji*. Wygłoszenie tego referatu zostało powierzzone mnie. E. Męclewski natomiast wygłosił referat pt. *Prasa i zagadnienia naszego powrotu na zachód*. Po przer-

wie obiadowej rozpoczęły się obrady w czterech komisjach: narodowo-ściowo-kulturalnej, społeczno-gospodarczej, propagandowej i niemcoznawczej. Wieczorem odbyło się przyjęcie wydane przez wojewodę poznańskiego, a popołudnie następnego dnia było wypełnione dalszym ciągiem dyskusji w komisjach, precyzowaniem wniosków i uchwał na plenum. Po południu na drugim plenarnym zebraniu kol. Kawczyński wygłosił wspomniany już referat o znaczeniu procesu norymberskiego, a przewodniczący sekcji referowali przebieg dyskusji w komisjach. Na zakończenie E. Męclewski rekapitulował wyniki Zjazdu w referacie pt. *O program zachodni polityki polskiej*.

Data tego I Zachodniego Kongresu Dziennikarskiego — 16 i 17 marca 1946 r. — stała się dla Zachodniej Agencji Prasowej, a mam wrażenie, że w ogóle w zakresie propagandy zagadnień zachodnich, datą niemal przełomową. Od tego czasu — można powiedzieć — praca zaczęła się na dobre rozkręcać. Powiększała się liczba abonentów, przede wszystkim abonentów prasowych. Rosła liczba wydawanych biuletynów specjalizujących się w różnych aspektach problematyki zachodniej. Nawiązała się bliska współpraca z Ministerstwem Ziem Odzyskanych, z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, z Polskim Związkiem Zachodnim. Biuletyny dla prasy zagranicznej drukowaliśmy w coraz większej ilości wersji językowych. We współpracy z PZZ powstało Wydawnictwo Zachodnie, wydające książki i broszury.

W Poznaniu mieściła się w dalszym ciągu centrala ZAP-u, tzn. centralna administracja i księgowość, dział techniczny, Wydawnictwo Zachodnie, redakcja biuletynów krajowych. W Warszawie rozwinęła się przede wszystkim redakcja zagraniczna.

Zespół redakcyjny w Poznaniu był stosunkowo niewielki. Jego skład personalny zmieniał się w okresie tego pierwszego trzylecia (bo ZAP pracował do końca 1948 r., po czym został zamknięty i restytuował się dopiero w 1957 r.), ale nie przekraczał nigdy dziesięciu osób. Najwytrwalszymi redaktorami ZAP-owych biuletynów byli m.in.: Aleksander Lisowski, przedwojenny redaktor „Dziennika Poznańskiego”<sup>5</sup>, współpracował ze Zrzeszeniem Dz. Z. Z. w okresie okupacji w Warszawie; Lech Jeszka, przed wojną pracował w „Kurierze Poznańskim”<sup>6</sup>, po wojnie przez jakiś czas w filmie, potem przyszedł do ZAP-u, pozostając w nim do likwidacji; Zbigniew Bernacki, przedwojenny redaktor „Wielkopolanina”<sup>7</sup>; obarczony liczną rodziną nie mógł jej utrzymać z dziennikarskich

<sup>5</sup> „Dziennik Poznański” (1859—1939) — gazeta konserwatywna reprezentująca w okresie międzywojennym sfery ziemiańskie.

<sup>6</sup> „Kurier Poznański” (1872—1939) — od 1906 r. organ Narodowej Demokracji.

<sup>7</sup> „Wielkopolanin” — czasopismo koncernu „Kuriera Poznańskiego”, ukazujące się od 1930 r. trzy razy w tygodniu pod redakcją S. Prószyńskiego.

zarobków w ZAP-ie, nauczył się tokarstwa i założył do dziś prosperujący zakład rzemieślniczy; Antoni Władysław Walczak, przedwojenny korespondent „Dziennika Poznańskiego”, okres wojny spędził w oflagu, a po powrocie wszedł do naszego zespołu; Stefan Śliwiński, przed wojną redaktor „Kuriera Poznańskiego”, po wojnie znalazł się w Związku Radzieckim, po powrocie przyszedł do ZAP-u. Przez pewien czas redagował jeden z naszych biuletynów przedwojenny redaktor „Dziennika Poznańskiego”, współpracujący ze Zrzeszeniem w czasie okupacji, dr Alfons Klafkowski, który zasadniczo po wojnie poświęcił się pracy naukowej. Redagował również przez czas jakiś monograficzny biuletyn, a także wydał u nas kilka pozycji książkowych z zakresu problematyki niemieckoznawczej dr Aleksander Rogalski. Jako dziennikarski aspirant rozpoczął u nas pracę Jerzy Pertek; zajmował się w biuletynach zapowskich tematyką morską, w Wydawnictwie Zachodnim wyszła jego książka *Wielkie dni małej floty*, która była inauguracją jego bogatego dorobku w zakresie literatury i publicystyki marynistycznej. Rozpoczynali w ZAP-ie swe dziennikarskie prace Tadeusz Jankowski, później redaktor „Słowa Powszechnego”<sup>8</sup>, Barbara Kraszewska, Tadeusz Trzcński. Nasłuch radiowy prowadził przedwojenny kolega z „Kuriera Poznańskiego”, Stanisław Śmiglak, a także para młodych aspirantów dziennikarskich: Irena Miękusówna i Henryk Graszewicz, a pod koniec — małżeństwo I. i H. Graszewiczów.

W ramach współpracy z Polskim Związkiem Zachodnim przez kilka kadencji wchodził do zarządu ZAP dr Czesław Pilichowski, w latach późniejszych długoletni sekretarz generalny Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Współpracował też z nami w Wydawnictwie Zachodnim mgr Stanisław Kubiak. W redakcji Wydawnictwa Zachodniego pracowali m.in. Stanisław Sieciechowicz, Jan Sobczak, Stanisław Szajek.

Na zakończenie swych wspomnień z okresu powojennego chciałbym jeszcze kilka słów poświęcić swej pracy dydaktycznej w zakresie zawodowego przygotowania młodej kadry dziennikarskiej. Miałem już w tej dziedzinie trochę doświadczenia z okresu okupacji, kiedy kierowałem konspiracyjnymi Wyższymi Kursami Dziennikarskimi. Po wojnie Zarząd Główny Związku zorganizował dokształcanie zawodowe młodej kadry dziennikarskiej. Kierował tą pracą prof. Mieczysław Kafel. Słuchacze w terenie otrzymywali skrypty, które przerabiano się na zebraniach seminaryjnych. Uczestnictwo w tych kursach było obowiązkowe dla wszystkich młodych dziennikarzy, nie mających przedwojennego stażu. Na zakończenie kursu odbywały się egzaminy przed komisją Zarządu Głównego w Warszawie. Zarząd powierzył mi prowadzenie tych kursów w Poznaniu.

<sup>8</sup> „Słowo Powszechno” — warszawski dziennik Paxu wydawany od 22 III 1947 r.

Gdy w ten sposób powojenne luki zostały w pewnym stopniu wypełnione, zaczęliśmy rozważać możliwość powołania do życia jakiejś stałej komórki zawodowego kształcenia dziennikarzy. Zarząd Oddziału nawiązał rozmowy z Uniwersytetem Poznańskim, proponując powołanie wydziału dziennikarskiego. Tegoczesny rektor UP prof. dr J. Dąbrowski i dziekan Wydz. Prawa prof. dr Z. Lisowski odnieśli się do inicjatywy przychylnie. Znaleźliśmy gorące poparcie u profesora dra T. Szczurkiewicza, kierownika katedry socjologii, z którym w tym zakresie współpracowałem już w okresie okupacji.

W roku akademickim 1947/1948 rozpocząłem wykłady z zakresu techniki pracy i organizacji redakcji. Połączone z ćwiczeniami seminaryjnymi miały te zajęcia nazwę Pracowni Dziennikarskiej. Otrzymaliśmy przy katedrze socjologii dwupokojowy lokal, który Związek Dziennikarzy z subwencji miasta umeblował. Zaczęliśmy — z różnych depozytów i darów — tworzyć bibliotekę prasoznawczą. Słuchaczami wykładów byli studenci wyższych roczników różnego kierunku studiów: historycy, socjologowie, prawnicy, poloniści, ekonomiści. Wielu z nich weszło do zawodu dziennikarskiego.